

Kronika tygodniowa.

Do kilku węzłów morskich istniejących w Krakowie przybywa i sprawa objęcia przez gminę we własny zarząd teatru miejskiego. Wąż ten pojawia się peryodycznie i stale co sześć lat i jest nadzieją, że jeszcze dużo sześcioleci upłynie, zanim radcom miejskim o tyle rozświeci się w głowie, że zdolni będą do zrozumienia rzeczy „jak obręcz” prostej. a mianowicie, iż za te same pieniądze lepiej mieć teatr lepszy niż gorszy.

Już przed 12 laty (w r. 1899) o mało tej prawdy nie zrozumiano. Ówczesny radca miejski i członek komisji teatralnej, K. Bartoszewicz, jako referent mniejszości osobnego komitetu, wybranego do ułożenia kontraktu dzierżawy teatru, w dwugodzinym referacie, opartym na ścisłych obliczeniach wydatków i dochodów teatru krakowskiego, oraz na budżetach innych teatrów pod zarządem gmin zostających, starał się udowodnić członkom rady, że objęcie teatru przez gminę nie narazi jej na żadne straty materialne, a podniesie ogromnie wartość i znaczenie sceny krakowskiej. Widocznie argumenty referenta miały siłę przekonywującą, kiedy referat przyjęto oklaskami. Zwolennicy wydzierżawienia teatru, widząc się w mniejszości, zamiast podjęcia rekawicy i stoczenia walki, postavili wniosek, aby posiedzenie odroczyć tak dla spóźnionej pory, jak i dla potrzeby „głębszego zastanowienia się nad wywodami referenta, które wywarły tak silne wrażenie” (słowa wniosku).

Rozprawy odroczone i „zastanawiano się”, to jest, mówiąc ściśle: agitowano przeciw umiastowieniu teatru. Kilku radców znalazło się bowiem w niemiłym położeniu: cała sprawa byłaby im obojętna, gdyby nie to, że przyrzekli dzierżawę teatru jednemu z ubiegających się. Ba, gdyby to „jednemu”, ale ten jeden miał małżonkę i jej z góry zaręczono, że zostanie dyrektorem. A pomiędzy tymi, co się zobowiązali wypuścić teatr w arendę, byli: wybitny radca żyd i wpływowy członek stronnictwa t. zw. „stańczyków”. Obaj ci panowie przed następnym posiedzeniem rady zwołali swe kluby na tajną radę. Wpływowy stańczyk na posiedzeniu w sali rady powiatowej oświadczył, że ustąpi z rady, jeżeli stronnictwo nie oświadczy się za jego protegowanym; uzyskawszy pod wpływem tej groźby nie jaką większość wśród „swoich”, zażądał, aby w tym wypadku wszystkich członków klubu obowiązywała solidarność, co znowu małą większością uchwalono.

Jak zaś między stańczykami ze sprawy artystyczno-administracyjnej zrobiono sprawę polityczną, tak znowu między żydami zrobiono z niej sprawę wyznaniową. Ów wybitny radca żyd zapewnił swych współwyznawców, że teatr w zarządzie gminy będzie klerykalnym i wobec tego zażądał od radców żydowskich solidarnego głosowania za swoim kandydatem na dzierżawcę. Tak więc połączyły się dwa kluby, stanowiące już razem większość w radzie. A ponieważ inne kluby, demokratyczny i mieszczański, solidarności nie uchwały, przeto część ich członków (niewielka co prawda), powiększyła szeregi klerykalno-antyklerykalne. Wprawdzie kilku konserwatystów, nie chcąc głosować przeciw swemu przekonaniu, na posiedzenie nie przybyło, wprawdzie dwu żydów oświadczywszy, że ów „klerykalizm” to blaga agitacyjna, głosowało za umiastowieniem, ale i tak protegowany utrzymał się znaczną większością głosów. Uchwalono jednak, żeby sprawę umiastowienia przekazać komisji teatralnej „z poleceniem gruntownego jej zbadania i przyjęcia z wnioskami przed upływem dzierżawy”.

„Nie trza wam godać”, że komisya (nawiasem mówiąc, zmieniona w swym składzie) miała zbyt wiele innych zadań przed sobą, aby się zajęła podobną drobnostką, nie byłaby zresztą komisya rady miejskiej, gdyby się do uchwał stosowała. Upłynęło więc sześć lat, które wprawdzie dostarczyły aż nadto nowych a smutnych dowodów, czym jest oddawanie teatru w dzierżawę, ale komisya milczała. Znowu ogłoszono, że teatr jest do wydzierżawienia (w roku 1905.), znowu go wydzierżawiono i znowu był na radzie wniosek (Daszyńskiego), aby miasto wzięło w swe ręce administrację teatru. I znowu polecono „badać sprawę” i przed upływem dzierżawy rezultat owych badań przedstawić radzie.

Naturalnie o żadnych „rezultatach” mowy nie było, bo i „badań” nie było. A kiedy teraz w roku pańskim 1911. znowu mamy teatr w pacht wypuścić, całe jedno posiedzenie rady zeszło na czczej gadaninie teatralnej, a tylko r. Gertler poruszył sprawę umiastowienia. „Jest to — mówił — postulat jedynie

ślusznym” ale obecny czas jest nieodpowiedni do rozstrzygnięcia tej doniosłej sprawy” bez jej zbadania (słowo w słowo to samo mówiono przed laty 12 i 6), a więc postawił wniosek, „aby we właściwym czasie przedłożono odpowiednie wnioski”. A w roku 1917. znajdzie się inny radca, który powtórzy stereotypowy frazes o nieodpowiednim czasie i znowu zażąda, aby tę sprawę zbadano. Tak będzie w roku 1923., tak w 1929. i tak dalej, bo prawdopodobnie nigdy nie będzie brakowało kandydatów do otrzymania tak dojrzałej krowy, jaką jest teatr krakowski. A ponieważ będą, więc zawsze znajdą protektorów, którzy jeszcze „po raz ostatni” wydzierżawia teatr i postanowią wziąć się do... badania sprawy jego umiastowienia. A że wśród takich okoliczności scena krakowska, z roku na rok upadająca, nigdy się nie podniesie, to rzecz nie mogąca ulegać dyskusji. Każdy dzierżawca, człowiek niezamożny (Pawlikowski był jedynym wyjątkiem), dostawszy tę „krowę” na lat sześć, będzie przedewszystkiem dołł ją dla siebie, aby złożyć kapitał na stare taty. I trudno mu się nawet dziwić: ma po 6 latach znowu pójść na aktorską tułaczkę? Woli sobie na czarną godzinę zaoszczędzić kawałek grosza. A że główny wydatek to pensya aktorów, więc wybitnych, dobrze płatnych sił trzymać nie będzie.

Kto zostanie przyszłym „kapitalistą”, to jest dzierżawcą teatru krakowskiego, nie wiemy, bo nie znamy zakulisowych agitacji. Nie wiemy też, komu losy uśmiechną się przy innym wyborze, a raczej wyborach. Maluczko bowiem, a coś koło 50 mężów ustąpi z krakowskiej rady miejskiej, a 50 innych lub tych samych otrzyma prawo radzenia o gruntach pofortyfikacyjnych, o czyszczeniu miasta, o brukach, gazie, elektryce, miejscach ustępowych, plantacjach, kanałach, regulacji plac urzędników i innych sprawach wysoce politycznych.

Układy już się toczą. Mówię układy dlatego, że w Krakowie niema właściwie wyborów, a są tylko układy i należałoby nawet tak ochrzcić częściową zmianę co trzy lata członków ciała zasiadającego w b. pałacu Wielopolskich. Statut miejski, utrzymując kurje, nie dozwala na wybory a tylko na układy. Żaden wyborca nie wybiera osób, lecz co najwyżej wybiera jedną z dwu list, na drodze układów zestawionych. W kurjach wielkiego przemysłu i wielkiej własności już dziś wiadomo, kto wybrany, a raczej mianowany radcą zostanie; tu i tam jakaś setka wyborców już się porozumiała ze sobą; nawet dwu list tu nie potrzeba, jedna z nich zawiera tylko nazwiska pragnących korzystać ze śmierci bliźniego: jeżeli radcy z tej kuryi będą łaskawi przenosić się do wieczności, to jegomoście z listy mniejszości, choćby mieli po 5 głosów, będą zajmować miejsca z woli niebios opróżnione. W małym przemyśle są wyjątkowo wybory, ale za to w „małych własnościach” od wielu lat o wyborach nie słyszano: tam każdy sam się wybiera, a raczej każdego wybiera kwota, przeznaczona na agitatorów i zakupno kart wyborczych; tu goły kandydat, choćby był Arystidesem, Katonem i Demostenesem w jednej osobie, nietylko „zaufania” wyborców nie zyska, ale stanie się dla nich figurą zarazem wstrętną i komiczną. W pozostałej kuryi inteligencji dawniej odbywały się prawdziwe wybory; każdy, do tej kuryi należący, głosował według swego przekonania, wybierał z pośród kandydatów tych, których uważał za najodpowiedniejszych. Ale od kilku lat inteligencja inteligencji zesłała na psy. Obecnie inteligent nie zastanawia się nawet, na kogo głosować, ale głosuje, jak mu każą; jest manekinem, automatem. Choćby wiedział, że X. jest najzaciejszym i najrozumniejszym człowiekiem, odda głos Z-towi, choć go uważa za zero lub szkodnika.

A może się odmienni, bo jakoś budzi się zrozumienie, że wyborcy z inteligencji nie są maszynami do głosowania (jak było przed 3 laty), ale że mają rzeczywiście prawo wybierać, kogo zechcą. Na zebraniu urzędników odzywały się głosy krytyki, zaznaczono wyraźnie, że przy wyborach nie powinno iść o politykę (brawo!), ale o dobrą gospodarkę miasta (brawo!). Zabawny był tylko głos, który żądał, aby z kuryi inteligencji wybierać samych urzędników. Zapomniał ten pan, że to nie jest specjalna kurya urzędnicza, ale kurya ogólna inteligencji, do której zarówno z urzędnikami należą adwokaci, lekarze, artyści, literaci, inżynierzy, budowniczowie, wszyscy posiadacze tytułu doktorskiego i t. d. Są jeszcze, jak widzimy, ludzie (na szczęście jest ich mało), którym się zdaje, że do urny przystępują nie jako obywatele, lecz jako nauczyciele, pocztowcy, skarbowcy i t. p. Otóż jest nadzieja, że mniejszość tak myśląca ulegnie większości i że inteligencja zdobędzie się tym razem na własną, nie narzuconą listę, że pojmie, iż z kuryi inteligencji powinna wychodzić „śmietanka” rady miejskiej, powinni

wychodzić ludzie bezstronni, rozumni, zdolni, pragnący dobra ogólnego. a nie geszefciarze, którzy dla dobra własnego, dla „kupna i sprzedaży” dobijają się o radzieckie mandaty.

Lwów także miał wybory i spisał się dzielnie. Zwyciężył blok narodowy, kilka syońsko-breiterowsko rusińska, połączona z t. zw. demokracją polską (?) poniosła dotkliwą klęskę. Przegrał batalię Bataglia, dostał porządnego nosa p. Aschke naze, nie pomogła hoża i kamienna siła dra Loewensteina, zajętego obecnie obroną (hr. Potockiego) w Petersburgu.

Petersburg okazał się dla niego mniej podatny niż Kraków. Do Krakowa przybył, zobaczył i zwyciężył: demokraci oczyścili JE. Wodzickiego za sprawę rydzyńską. Gdy mu się tu powiodło, pojechał p. Loewenstein do Petersburga, bronić drugiego rydzyńszczyka. Ale tam wybrani do rozpatrzenia tej sprawy posłowie (Chrzanowski, Jaroszyński, Zawisza i Chomiński) nie poprzestali, jak rejent Klemensiewicz, na opinii p. Loewensteina; nie pomógł mu nawet sukces p. Dziembowskiego. Sędziowie petersburscy uznali, że obaj ci panowie, choćby nawet nie byli współoskarżonymi, są tylko adwokatami, broniącymi oskarżonego. A więc „dla wszechstronnego (nie jednostronnego) oświecenia sprawy” wezwali publicznie wszystkich posiadających „dowody lub oparte na pewnych podstawach poglądy”, ażeby zgłosili się do nich listownie lub osobiście. Wezwanie to umieszczono we pismach warszawskich z prośbą, aby je przedrukowały wszystkie pisma polskie. Widocznie w Krakowie pisma polskie nie wychodzą, bo ani jedno nie przytoczyło tego wezwania. Ani jednemu nie idzie o „wszechstronne oświecenie sprawy”. Jedynym tego powodem jest zapewne wiara w nieomyślność Klemensiewiczowską.

Jeżeli Loewenstein nie zebrał laurów w Petersburgu, to za to całą garścią zbiera je tam hrabia Ignacy Karol Korwin (dwu imion z przydomkiem) Mlewski. Sprawa jest zbyt głośna, aby potrzebą ją było przedstawiać na szpaltach *Nowości*. Nie zaszkodzi jednak przypomnieć, że ten hrabia (tytuł z łaski portyerów i kelnerów) jest nam dobrze znany i ze Lwowa i z Krakowa, gdzie był bardzo głośny ze swojego... bzika. A najgłośniejszym, bo przez sądy wiedeński i krakowski rozbieganym, był jego stosunek z... księżną Włodzimirską (taka sama ona księżna jak ón hrabia). „Piękna Cesia” była naprzód jego „córką”, potem „narzeczoną”, siedziała z nim na jakiejś wyspie, aż mu się sprykrzyła i prowadził z nią skandaliczne procesy.

A jeżeli idzie o ładne procesy, to mamy i teraz pachnący proces w Krakowie. Piękne rzeczy o sobie opowiadają ks. Szponder i p. Okołowicz, obaj opiekunowie (?) emigrantów. Miłość bliźniego obie te piękne dusze zmusiła do pobierania od głowy po X franków za przysparzanie Ameryce obywateli. Szlachetna rywalizacyja w filantropii sprowadziła ich aż przed kratki sądowe.

Na końcu kroniki powinszować należy zastępcemu lekarzowi i obywatelowi poznańskiemu, drowi Ignacemu Zielewiczowi, którego jubileusz świeżo obchodzono, że został... Rotszyldem dzięki *Tygodnikowi Ilustrowanemu*, który pod jego portretem umieścił nazwisko Rotszylda, a pod portretem Rotszylda położył nazwisko dra Zielewicza. Oby takich Rotszyldów nauki i serca było u nas jak najwięcej.

Zawiadomienie.

Z dniem 1-go marca b. r. został otwarty chrześcijański magazyn gotowej konfekcyi męskiej pod firmą „SZATNIA”

(Spółka z ogr. odpowiedzialnością)

Sławkowska 14 (vis á vis Grand Hotelu) w Krakowie.

Zaopatrzony w bogaty wybór ubrań: marynarkowych, zakietowych, surdutowych i frakowych oraz płaszczy angielskich i zarzutek.

Mamy nadzieję, że P. T. Publiczność poprze nowy a chrześcijański tego rodzaju magazyn, tem więcej, że zaopatrzyliśmy go w towar doborowy, a w cenach przystępnych.

Z poważaniem Zarząd.

DOSTAWCAD LA ZWIĄZKU LEKARZY

B. WIERZEJSKI
KRAKÓW, RYNEK

róg ul. Floryańskiej. Telefon 0368.

Wśród drzew szpilkowych pierwszorzędną

KAWIARNIA J. BISANZA

w Krakowie, przy ul. Dunajewskiego 1, parter